3. lutego 1866. Nr. 5. Rok I.

Wychodzi we Lwowie co sobotę, arkusz lub półtora.
Prenumerata w miejscu: 6 zł. 50 ct. rocznie — 3 zł. 25 ct. półrocznie — 1 zł. 65 ct. kwartalnie — 55 ct. miesięcznie.

TYGODNIK NAUKOWY I LITERACKI.

Zamiejscowa w Austrji: 7 zł. rocznie — 3 zł. 50 ct. półrocznie — 1 zł. 80 ct. kwartalnie — 60 ct. miesięcznie.
Redakcja i administracja pod l. 168 m. przy ulicy Dominikańskiej.
Expedycja i miejscowa prenumerata w księgarni J. Milikowskiego.

O umiejętnej nauk uprawie.

Przez **Karola Widmana.**

I.

(Ciąg dalszy.)

Powiedzieliśmy wyżej, że umiejętność jest to rozumowe ujęcie prawd zdobytych w nauce.

Rozumowe ujęcie prawd zdobytych w nauce zależy głównie w tem, ażeby z całego jej zasobu teoretycznego i praktycznego, po krytycznem ocenieniu tegoż wydobyć prawdy bezwzględne.

Prawdami bezwzględnemi nazywamy te zasady i prawidła, które we wszystkich najrozmaitszych i sprzecznych ze sobą systemach, sprawdzaniach i stosowaniach utwierdziły się niezachwianie, t. j. których żadne rozumowanie zbić nie zdołało.

Te prawdy bezwzględne stanowią podstawy do zbudowania na nich gmachu umiejętnego z całego zasobu, jaki posiadamy w której gałęzi nauk.

Takiemi prawdami bezwzględnemi są owe prawidła zasadnicze, na których polega nauka chemji, mianowicie prawidło pokrewieństwa chemicznego i stosunek stechjometryczny pierwiastków chemicznych, albo na których polega większa część nauk przyrodniczych jak prawidło ciążenia materji, tak w wielkich bryłach jak w najmniejszych cząstkach (molekułach) lub prawidła krystalizacji. Takiemi są prawidło miłości w naukach obyczajowych w ogólności, wolności, równości i braterstwa w naukach społecznych w szczególności.

Nie we wszystkich naukach udało się dotychczas wynaleźć te prawdy bezwzględne, co więcej, we wielu z nich okazało się, że prawdy uznawane przez długi czas za bezwzględne były mylne, albo że one nie zostały wprawdzie stanowczo obalone, ale przeciwne prawdy zostały z równąż siłą ustanowione. Tak do niedawnych czasów uznawano dosyć ogólnie za niemylne prawidło (axiomat) w gospodarstwie społecznem twierdzenie Malthusa, że ilość żywności wzrasta w stosunku arytmetycznym, podczas gdy ludność wzrasta w gieometrycznym. Obecnie zbijają to twierdzenie nowsi badacze gospodarstwa społecznego i twierdzą (mianowicie Carey), że ilość żywności wzrasta w tym samym stosunku co ludność. Prawidło to niezmiernie ważne w praktycznych następstwach swoich jest podziśdzień jeszcze sporne.

Podobnych spornych prawideł posiadamy mnóstwo w naukach rozumowanych, ale jest ich wiele i w doświadczalnych.

Też same nauki posiadają znowu inne prawidła uznane powszechnie i niezbite, jak są prawidła obyczajowe wspólne naukom obyczajowym i społecznym.

Naukom, które nie mają jeszcze ustalonych prawideł bezwzględnych, brakuje cechy umiejętnej, są w rozwoju dopiero ku umiejętnemu stanowisku.

Nauki zaś, które posiadają stałe prawidła, bezwzględne, mają wykończone podstawy umiejętne i nie doznają pod względem swej treści zasadniczej dalszego rozwoju.

Ztąd powstało mniemanie o postępowości albo niepostępowości pewnych nauk. Tak jeden z najznakomitszych tegoczesnych uczonych i myślicieli, Buckle, twierdzi, że tylko nauki oparte na rozsądkowych (intelektualnych) poszukiwaniach są postępowemi czyli zdolnemi postępu.

Jeżeli mamy uważać ustalenie prawideł zasadniczych i bezwzględnych za ostateczny rozwój nauki, wtedy ma Buckle słuszność.

Ale same prawidła zasadnicze i bezwzględne nie stanowią jeszcze całej nauki. Oprócz tych zawiera każda nauka jeszcze:

1) wiele prawd podrzędnych, które się wywodzą z prawideł zasadniczych i są również bezwzględne, a wywód taki może iść w nieskończoność;

2) jest wiele prawd względnych, nieutwierdzonych jeszcze wprawdzie stale, ale też i nieobalonych stanowczo. Prawdy te utrzymują się, dopóki się nie okaże ich sprzeczność z prawidłami zasadniczemi lub w ogóle bezwzględnemi.

W dalszym rozwoju nauki mogą te prawdy albo okazać się również nieobalonemi jak prawdy bezwzględne i wstąpić w szereg prawd albo zasadniczych albo podrzędnych; lub też okazują się mylnemi i sprzecznemi z prawidłami zasadniczemi a wtedy upadają.

Jeżeli tedy wynalezienia prawideł zasadniczych nie będziemy uważać za ostateczny rozwój nauki, tylko będziemy mieli wzgląd na wysnucie z tych prawideł dalszych wniosków i budowanie na nich całego gmachu nauki, oraz na istnienie prawd podrzędnych — wtedy musimy przyznać, że wszystkie nauki wymagają i są zdolne postępowego rozwoju. Tak n. p. Malthus dał pochop do rozwoju matematyki przez zastosowanie jej do gospodarstwa społecznego, a chociaż jego zasada się nie utrzymała, to jednak myśl stosowania matematycznych form do gospodarstwa społecznego rokuje tak matymatyce jak gospodarstwu społecznemu jeszcze w przyszłości obszerne pole do rozwoju. Z innej strony dał Carey pochop do rozwoju nauki obyczajów przez stosowanie prawidła miłości bliźniego do gospodarstwa społecznego i do nauk społecznych w ogólności.

Zadaniem umiejętnego badania jest właśnie ujęcie rozumowe zasad i prawideł nauki, rozróżnienie między niemi bezwzględnych od względnych prawd i uszykowanie tychże w pewien ład rozumowy, tak: ażeby bezwzględne prawdy mogły stanowić pewną uporządkowaną podstawę do zbudowania na nich gmachu całej nauki, względne zaś prawdy aby uszykowane były w związku, jaki z ich wzajemnej zależności wynika.

Praca ta umiejętnej uprawy nauk polega sama na pewnych prawidłach zasadniczych, które to prawidła znajduje rozum ludzki, gdy sam siebie czyni przedmiotem naukowego badania.

Prawidła takie posiadamy, w świecie naukowym stanowią one materjał nauki o badaniu umiejętnem, czyli naukę umiejętności.

Jakkolwiek prawidła zasadnicze tej nauki noszą na sobie cechę prawd nieobalonych, to jednak ta nauka umiejętnego badania czyli nauka umiejętności nie jest jeszcze należycie wyrobioną. Posiadamy w tej gałęzi niektóre systemata pod nazwami logiki lub innemi, jak Bakona *Novum organum*, nawet pod nazwą przez nas podaną: nauki umiejętności (*Wissenschaftslehre*). Systemy te jednakże mają po większej części tę wadę, że trzymają się w dziedzinie rozmyślania odrębnego od praktyki (spekulacji) albo niedostatecznego wywodu z praktyki (indukcji).

Pierwsze z tychże, spekulacyjne, mają cechę powszechności bo ogarniają cały zakres wiedzy ludzkiej; drugie, indukcyjne wykluczają ze swego zakresu pewne gałęzie wiedzy i trzymają się tylko dziedziny doświadczalnej, zmysłowej.

Rozbierają one działanie rozumu ludzkiego jako istoty myślącej, myślenie samo za siebie, i wywodzą je albo ze źródła czczej myśli albo grubej zmysłowości; lecz mało jest takich, któreby badały działanie rozumu przy badaniu i tworzeniu nauk i umiejętności.

Systemy, które się zajmują rzeczywiście badaniem działania rozumu przy uprawianiu i tworzeniu nauk i umiejętności, jakoto różne encyklopedje filozoficzne umiejętności, są tylko stosowaniem zasad myślenia z góry obmyślanych do gotowego nauk materjału. Takie systemy szykują materjał nauk wedle swoich spekulacyjnych albo indukcyjnych podstaw najczęściej sprzecznie z rzeczywistością.

Niektóre szkoły filozoficzne upatrują we wszystkich gałęziach wiedzy ludzkiej odbicie tylko swoich odrębnych rozmyślań o czynności rozumu, widzą we wszystkiem jakoby krystalizację swoich spekulacyjnych pomysłów. Inni widzą w naukach tylko skutek zmysłowych dostrzegań, których odbiciem ma być rozumowanie.

Główny błąd systemów spekulacyjnych leży w tem, że myślenie odrębne od rzeczywistości, czyli działanie rozumu oderwane od wszelkiej treści, które czynią przedmiotem swojego badania, uważają za istotę, za treść wszelkiego istnienia, za samą rzeczywistość. Systemów zaś zmysłowych (sensualistycznych) błędem jest znowu, że samo wrażenie na zmysły mają za treść wszelkiej wiedzy, działanie zaś rozumu, wywodzące z tych wrażeń pewne zasady i pomysły (indukcję), za istotę wszelkiej umiejętności.

Obydwa rodzaje systematów biorą nietylko sposób działania za przedmiot sam działania, kształt za treść, ale oraz i część nauki za jej całość. (Dok. n.)

Dr. Maksymiljana Müllera

profesora akademji Oksońskiej

Odczyty o umiejętności języka.

Dla polskich czytelników przerobił **Bronisław Trzaskowski.**

(Odczyt drugi.)

Umiejętność języka należy do nauk przyrodniczych. — Wzrost języka a historja języka.

(Ciąg dalszy.)

Co Grimm o narzeczach w ogólności mówi, to tylko do tych zastosować da się, które z głoskowego zepsucia powstały. ›Wszystkie narzecza, mówi on, rozwijają się postępowo, a im dalej w przeszłość języka zajrzymy, tym mniejsza ich liczba, i tem mniej wybitnie występują. Bez tego przypuszczenia nie podobnaby pojąć ani początku djalektów ani wielości języków. Wszelka rozmaitość wyrosła powoli z początkowej jedności.‹ Rzeczywiście tak się być zdaje, jeżeli nasze językowe teorje wyłącznie na materjałach, których piśmienne języki, jak sanskryt, grecki, łaciński, gocki lub starosłowieński dostarczają, budujemy. Jakoż są one bez wątpienia jakby królewskie rodziny w dziejach języka. Ale jak dzieje powszechne na każdy sposób więcej w sobie mieścić muszą niż prostą kronikę panujących dynastyj, tak podobnie i historyk języka nie może pominąć owych niższych i gminnych warstw, z których owe dynastje pierwotnie wyszły, i na których się jedynie opierają.

I w tem właśnie leży największa trudność. Jak tu nakreślić historję narzeczy? W historji starych narzeczy dostarczają tylko piśmienne narzecza potrzebnego materjału, gdy tymczasem o narzeczach w uściech ludu żyjących starożytni pisarze ledwie tyle wspominają, że kiedyś istniały.

Plinius opowiada, że w Kolchidzie żyło 300 plemion, co rozmaitemi narzeczami mówiły i że Rzymianie dla porozumienia się z mieszkańcami tej krainy 130 tłómaczy potrzebowali. Chociażbyśmy podanie to za przesadne uważali, to przecież nie mamy żadnego powodu nie wierzyć Strabonowi, który o 70 w owej krainie, co podziśdzień jeszcze ›górą języków‹ się zowie, obok siebie mieszkających plemionach opowiada. Misjonarze, co się w nowszych czasach nauce języków dzikich bez żadnej literatury plemion poświęcali, ograniczali się zwykle na jedno z ich wielu narzeczy, a jeżeli usiłowania ich pomyślnym uwieńczone zostały skutkiem, to narzecze, które pismem ujęte cywilizacyjny wpływ ułatwiało, nabywało wkrótce pewnej piśmienniczej wyższości, przed którą inne narzecza jako zupełnie dzikie ustępować musiały. Na każdy sposób zawdzięczamy wszelką znajomość narzeczy dzikich plemion głównie a niekiedy jedynie misjonarzom, i byłoby rzeczą bardzo pożądaną, aby coraz więcej uwagi na to ciekawe zadanie djalektycznego języków życia zwracali, gdyż oni tylko posiadają potrzebne do jego rozwiązania środki. Gabrjel Sagard, którego w roku 1626 jako misjonarza do Huronów wysłano, wydał w roku 1631 w Paryżu dzieło z napisem; *„Grand Voyage du pays des Hurons“*, w którem podaje, że między temi północno-amerykańskiemi plemiony zaledwie jedna wieś tym samym językiem mówi co inna; co więcej, że nawet pojedyncze tej samej wsi rodziny nie zupełnie tego samego używają języka. Dodaje także, co jest najciekawszem, że się ich język prawie codziennie zmienia, tak że stary Huronów język od obecnego prawie zupełnie się różni. Prawda, iż utrzymują niektórzy przeciwnie, że w przeciągu 200 lat język Huronów w niczem się nie zmienił. Czytamy o misjonarzach środkowej Ameryki, co język dzikich plemion pismem ująć usiłowali i z wielką starannością słowniki wszelkich wyrazów, jakich tylko dostać mogli, układali. Gdy po dziesięciu latach do tego samego pokolenia wrócili, spostrzegli z zadziwieniem, że słownik ich już był przestarzały i nieużyteczny. Stare słowa opadły na dno strumienia językowego; nowe wydobyły się na wierzch i język zmienił się zupełnie co do zewnętrznej postaci. Nic tak nie dziwiło jezuickich misjonarzy, jak ta niezmierna mnogość języków, którymi mieszkańcy Ameryki mówili. Lecz okoliczność ta nie tylko nie dowodzi wysokiego stopnia oświaty, ale owszem przekonuje dowodnie, że rozmaite Ameryki rasy nie uległy nigdy nawet na krótki czas silnej politycznej koncentracji, i że im się utworzenie wielkich narodowych państw nigdy nie powiodło. Hervas sprowadza wprawdzie wszystkie narzecza Ameryki do 11 familji, z których 4 na południe a 7 na północ przypada; lecz to jest tylko wynikiem owego starannego, mikroskopicznego porównania, które język mieszkańców Islandji i Ceylonu do tej samej policza klasy. W praktyce różnią się narzecza Ameryki zupełnie, a ludy, co niemi mówią, nie rozumieją się wcale.

To samo powtarzają wszyscy znawcy, co bujnemu djalektów wzrostowi dłużej i pilniej przypatrywać się mogli. Rzućmy okiem na Burmah, a zobaczymy, że język burmahjski zdobył się na dość znaczną literaturę i że jest nie tylko w Burmah ale także w Pegu i Arakanie powszechnie przyjętym we wszystkich stosunkach pośrednikiem. Ale owe porozrzucane pasma gór na półwyspie Irawaddy są bezpiecznem dla wielu niezawisłych plemion schronieniem, które własnem mówią narzeczem. Jakoż w okolicy samej Manipury wykazał kapitan Gordon 12 narzeczy. ›Niektóremi z nich, pisze on, mówi zaledwie 30 do 40 rodzin, a jednak tak się od siebie różnią, że ich najbliżsi sąsiedzi nie rozumieją.‹ Sławny amerykański misjonarz Brown, który całe życie opowiadaniu ewanielji w owej części świata poświęcił, opowiada nam, że niektóre plemiona, co się z jednej wsi do drugiej przeniosły, już w drugiem albo trzeciem pokoleniu w dawnej siedzibie swej zrozumiane być nie mogły. O Ostjakach w północnej Azji pisze Messerschmidt, że jakkolwiek wszędzie jednym językiem mówią, przecież tak wiele każdemu plemieniu właściwych słów i form natworzyli, że nawet w okręgu dwudziestomilowym bardzo trudno porozumieć się mogą. Castrén, ów śmiały badacz języków północnej i środkowej Azji, upewnia nas, że niektóre mongolskie narzecza rzeczywiście w nową fazę gramatycznego życia wstępują, że końcówki osobowe u czasowników, to charakterystyczne turańskiego języka znamię, którego

piśmienny Mongołów język nie ma, w narzeczach Buryjetów i w tunguskich djalektach około Nierczyńska w Syberji niedawno co w życie wchodzić poczęły.

Jeszcze jednego spostrzeżenia tego samego rodzaju dostarcza nam pióro Roberta Moffata w dziele: *Missionary Scenes and Labours in Southern Africa.* ›Czystość i harmonja języka, pisze ten badacz, utrzymuje się wprawdzie na publicznych zgromadzeniach, które oni *pitchos* zowią, przy uroczystościach i obrzędach, w pieśniach i wzajemnych stosunkach; ale u odosobnionych mieszkańców puszczy całkiem inaczej się dzieje. Podobne zbory są tam niemożliwe; nieraz za żywnością daleko od rodzinnej wioski chodzić muszą. W takim razie udają się rodzice i wszyscy, co dźwigać mogą, na całe tygodnie w podróż zostawiając dzieci pod nadzorem kilku słabych starców. Mała dziatwa, z której niejedno dopiero szczebiotać zaczyna, gdy drugie już całe zdania klei, a inne starsze bawią się i biegają, ta mała dziatwa natury przywyka po całych dniach do języka własnego wynalazku. Ruchliwsi z nieco więcej wprawnym językiem zniżają się do mniejszych i tym sposobem powstaje z tego dziecinnego Babilonu narzecze z dziwną mieszaniną słów i wyrażeń bez żadnego prawidła z sobą połączonych, a po wymarciu jednego pokolenia zmienia się zupełnie charakter języka.

Takiem jest życie języka w stanie natury i w podobny sposób, jak się wnioskować godzi, wyrosły języki, któreśmy dopiero wtenczas poznali, gdy im już literatura wędzidło założyła. Lecz i bez piśmiennej klasycznej literatury może przyjść jakieś narzecze do przewagi nad innemi. Mowy na publicznych zborach, pieśni ludowe, narodowe prawa, słowa wyroczni i t. p. wywierają nieraz, chociaż w mniejszych rozmiarach, ten sam wpływ. Zatrzymują one zwykle naturalny prąd języka w niezliczonych strumykach jego narzeczy i ustalają byt niektórych językowych utworów, które bez tych zewnętrznych wpływów nie długiem cieszyłyby się życiem.

Chociaż w tej chwili w rozwiązanie zadania o początku języka głębiej zapuszczać się nie możemy, to przecież już tyle jasno pojąć potrafimy, że pierwsza dążność języka, jakikolwiek jest jego początek, ku nieograniczonej rozmaitości skierowaną była. Tę rozmaitość ograniczają atoli pewne naturalne granice, które od początku wzrost narodowych i piśmiennych języków przygotowały. Język ojca stał się językiem jego rodziny, język rodziny językiem gromady. W gromadzie zachowały rodziny między sobą swoje własne familijne formy i wyrazy, utworzyły nowe słowa, niektóre może tak fantastyczne i dziwne, że je inni członkowie gromady trudno zrozumieć mogli. Takich wyrazów strzeżono się wprawdzie na wielkich zgromadzeniach, gdzie szło o powszechny w naradach udział, podobnie jak i my powiatowszczyzn i ulubionych własnego wyboru słów przy podobnych okolicznościach unikamy, ale przy ognisku każdego namiotu tym chętniej ich używano, im więcej wspólne całej gromady narzecze charakterystyczne formy przybrało. Powstawały także narzecza całych społeczeństwa klas, jak n. p. narzecze sług, pasterzy, rybaków, myśliwych, żołnierzy. Gospodynie używały także osobnych wyrazów, a dorastające pokolenie wymyśliło sobie wkrótce własną dowcipniejszą frazeologję. My sami, co w piśmiennym wieku żyjemy, co nas tysiące lat od owych prastarych ojców języka oddzielają, my sami nie mówimy w domu tak samo jak publicznie. Te same okoliczności, które język gromady jako nad narzeczami rodzin stojący tworzą, tworzą także na większy rozmiar języki i z wielu gromad złożonych osad i rozwijających się z nich narodowości. Zanim powstał język narodowy, były zawsze setki narzeczy po powiatach, miastach, wsiach a nawet rodzinach, a jakkolwiek postęp oświaty i centralizacji ustawicznie do zmniejszenia ich liczby i zatarcia ich odrębnych rysów dąży, to przecież nie zdołał on ich nawet w naszych czasach zupełnie wyniszczyć. Co większa, widzimy niekiedy, jak n. p. dzisiaj u Słowaków i galicyjskich Rusinów jakby wsteczne dążenie do przywrócenia ich narzeczom tej odrębności, którą pod wpływem piśmiennego czeskiego i polskiego języka tracić zaczęły. (D. c. n)

Prorok a robotnik.

Ustęp z nowej powieści J. Zachariasiewicza pod tytułem: **„Po ślubie“.**

(Dokończenie.)

Nie mógł artysta wybrać niefortunniejszej chwili dla swojej wizyty. Odczytany przedtem ustęp o muzyce w manuskrypcie wujaszka, który jej tak wielkie w narodzie naszym założył znaczenie i owa fatalna kronika ›Gazety wieczornej‹ nastroiły mnie dziwnie do jakiegoś usposobienia kaznodziejskiego.

Ponieważ już mrok zaczął zapadać, kazałam służącej przynieść kandelabry i usiedliśmy oboje przy małym stoliku, który stał przed szezlągiem pomiędzy oknami.

Po kilku słowach zwykłej rozmowy rzekł do mnie artysta:

— Przychodzę całe moje wczorajsze powodzenie, wszystkie moje wieńce i laury, a mianowicie to wewnętrzne przekonanie, jakiego potrzebuje artysta na ciernistej drodze swojej, że poszedł ścieżką właściwą — przychodzę to wszystko złożyć u nóg pani!..

— Mnie nic z tego nie należy się, mój panie — odpowiedziałam — pan byłeś posłusznym, a powodzenie jest tylko zapłatą za to posłuszeństwo. Jesteśmy więc pokwitowani.

Artysta spojrzał na mnie z wyrzutem za takie pokwitowanie. Zostawiając jednak tę kwestję prawdopodobnie na później, rzekł z uśmiechem.

— Niesłusznie odpychasz Pani od siebie tę zasługę, postępując sobie jak bogacz, który odpycha od siebie biednego, oddającego mu jedną ratę pożyczonego grosza.

Podałam rękę artyście i rzekłam:

— Wyrządzasz mi pan krzywdę. Nie jestem wcale pod tym względem bogatą. Pan masz więcej ideałów i marzeń przed sobą, większe bogactwo otacza cię. Doświadczenie życia wzięło mi wiele z tych bogactw mniemanych, i jestem dziś może uboższą od wielu innych. Poznajesz to pan z mowy mojej, która bliższą jest rzeczywistości, niżeli onych tęczowych obrazków napowietrznych, któremi stosownie do mego wieku mogłabym się łudzić!...

Artysta spojrzał na mnie z niedowierzaniem. Dwie różne jakieś myśli walczyły na jego twarzy. Obawiałam się, aby słów moich źle nie zrozumiał i rzekłam zaraz:

— Więc pan zadowolony jesteś z wczorajszego powodzenia?

— Wyjąwszy to, że wczoraj kilka znakomitych domów dawało wieczory, które nie pozwoliły wielu amatorom pójść na produkcję — jestem zresztą dosyć zadowolony. Do tego recenzja w ›Gazecie wieczornej‹...

Tu chciał sięgnąć w zanadrze i prawdopodobnie wyjąć ztamtąd ową ›Gazetę wieczorną‹, gdy nagle spostrzegł na stole przede mną ten sam numer.

— Zapewnie czytałaś pani — rzekł z wejrzeniem na gazetę.

Dałam znak głową. Milczenie nastąpiło i trwało przez kilka minut.

— Dziwna jest ta recenzja — rzekłam po chwili w zamyśleniu.

— Dziwną nazywasz ją pani? — podjął żywo artysta — wszak ona jest najpiękniejszym tryumfem dla pani!

— Dla mnie? — zapytałam przebudzona żywym tonem artysty.

Twarz artysty ożywiła się. Oczy jego zapłonęły dziwnym ogniem. Odgarnął z czoła długie włosy i rzekł w zapale:

— Wszystko to, co się stało z moim utworem, jest dziwne, prawie niewytłumaczone. Myślałem nad tem kilka nocy bezsennych, mordowałem umysł mój aż do szaleństwa. Dopiero wczoraj, gdym panią na kanapie ujrzał; zaświtała mi myśl jasna, która w ›Gazecie wieczornej ›znalazła swoje zatwierdzenie!

— Jakaż to myśl, jeźli można zapytać?

— Myśl dawna wprawdzie, która odsłania świat wyższy, tajemniczy, stykający się z tem, co jest rzeczywistem!... Nie wiem zkąd to się wzięło, ale za pierwszem poznaniem pani, za pierwszą rozmową uczułem, że pani masz prawo do mnie.... do mojej duszy.... do tego wszystkiego, co tam żyje, myśli i czuje.... Z kąd nabyłaś pani tego prawa, nie wiem, może gdzieś z przedświatowej egzystencji w sferach eterycznych.... Wiem tylko, że pani cięższysz niepojętem władztwem na duszy mojej, jak oko plantatora nad czarnym niewolnikiem.

— Uchowaj Boże — przerwałam z uśmiechem uniesienia jego, — nie chciałabym nigdy zrobić z pana murzyna!

— Pozwoli pani, że dzisiaj wszystko wypowiem!... Byłem dotąd samotny jak łódka śród burzy! Z fal wodnych wychylił się do mnie sternik i wszedł w łódkę moją. Odtąd przestałem się sterować, bo ster wziął mi nowy mój towarzysz!

— Ach, takie dzikie obrazy stawiasz mi pan przed oczy!

— I w tej samotnej żegludze stworzyłem moją kompozycję. Niestety myślałem, że ona jest moim własnym utworem. I nadałem jej tytuł według tego, czem ona mi się wydała! A ona właściwie nie była moją własnością! Ja byłem tylko narzędziem, byłem posłusznym instrumentem, a pani, pani grałaś po strunach duszy mojej!... Cóż więc dziwnego, że wiedziałaś o tytule właściwym swego własnego dzieła?

Przelękłam się tego dziwnego obłąkania umysłu, ale to spodowało mnie do mówienia o tem, o czem dla chorej duszy jego nie chciałam tak prędko mówić. — Rzekłam po chwili milczenia spokojnie do niego:

— W zbyt wysokie szlaki chcesz mię pan unieść. Ale ja zwyczajna kobieta, za mocno trzymam się ziemi!

Zerwał się z krzesła, rzucił w tył głową i odparł:

— Nie, to być nie może! Wrzącą duszę okrywasz pani naumyślnie lodem! Wyjaśnij mi pani, jeżeli możesz, zkąd to dziwne władztwo wzięłaś nademną, od którego nie mogę się uwolnić, jakby od własnego cienia mego?...

Uśmiechnęłam się zimno i rzekłam:

— Mówiłam, że mam prawo do pana. Tego się nie wyrzekam i zaraz panu wyjaśnię, bez eterów i szlaków napowietrznych.... Przypominasz pan sobie pewne miasto obwodowe.... w niem dworek przedmiejski z gankiem zaszklonym... na przeciw tego dworku, był domek ciemnego organisty, w którym było kilkoro sierot...

Rumieniec oblał twarz artysty. Nie wiem, co on oznaczał... Po chwili błysnęło w jego oku coś nakształt łez. Wreszcie spuścił głowę, a długie włosy nakryły mu czoło. Mówiłam po małej pauzie dalej:

— W tym domku mieszkał także poczciwy student, którego dzieci »dzidzim« nazywały.

Artysta podniósł nagle głowę i wlepił we mnie duże czarne oczy. Na twarzy już nie miał rumieńca. Był blady i stał jak statua z marmuru. Mówiłam dalej:

— A w dworku szklannym była osamotniona kobieta, dla której przez czas długi jedyną rozrywką, był widok na ten dom cichy patrjarchalny. Słuchała ona owych »modlitw porannych«, owych śpiewów Niemcewicza, a nawet patrzała z rozkoszą, na niewinne zabawki z sierotami poczciwego wujcia... A gdy wyjeżdżał, rzuciła mu ta kobieta białą różę przez okno i prosiła anioła stróża, aby strzegł go na ciemnych drogach żywota!..

Artysta powiódł po mnie okiem, jakby się z głębokiego snu przebudził, potem uderzył się w czoło i odstąpił kilka kroków od stołu.

— Mój Boże! zawołał, cóż to za dziwne rzeczy odsłaniają się przedemną!...

Potem zbliżył się szybko do stołu, wypatrzył się na mnie jak lunatyk i rzekł cichym głosem jakby do myśli swoich.

— To obraz pani trapił mnie w bezsennych nocach moich! Nie wiedziałem zkąd się ta postać w duszy mojej wzięła! Weszła tam bez świadomości mojej, gdym był prawie dzieckiem i wystąpiła, gdym się stał młodzieńcem!... Tak ta sama postać!... Z razu widziałem ją w czerwonej koszulce, a nad nią unosił się biały gołąb....

Wspomnienie to mego »dzidzia« wzruszyło mnie. Poczułam, że łzy cisną mi się do oczu. Przypomniałam jednak sobie, czem jestem i uspokoiłam się. Żal mi było tylko tej duszy, która poszła drogą niewłaściwą...

Artysta mówił dalej:

— I dziwny był to sen duszy mojej; bo nie wiedziałem zkąd on pochodził. Myślałem, że dusza moja ma jakieś wspomnienie przedziemskie i cierpiałem, jak rozbitek wyrzucony na dzikie skały sam jeden!... Widok pani obudził ten sen mój dawny! długo walczyłem o niego!... Dziś ta walka upada... dziś korzę się przed bóstwem mojem, z pod którego władzy nie mogłem się uwolnić...

Mówiąc to zbliżył się szybko do mnie i chciał mnie wziąć za rękę. Szerokość stołu jednak przeszkodziła temu.

Korzystałam z tej przerwy zamysłów jego — wstałam z twarzą spokojną i zimnem okiem spojrzałam na niego. Ochłodziło to wyobraźnią jego, wypatrzył się na mnie. Ozwałam się po chwili:

— Nie przerywaj pan wizyty swojej!... Mam jeszcze coś do mówienia.

Nic na to nie odpowiedział. Szklannem okiem patrzał na mnie i przychylił głową na znak, że chce mnie słuchać. Mówiłam dalej:

— W osamotnieniu mojem uroiłam sobie powabną przyszłość tego domku przedmiejskiego. Widziałam pana na chórze w kościółku Panny Marji, gdyś intonował dla ludu pieśni nabożne, i wspaniałym organem prowadził modlitwę jego do tronu Przedwiecznego...

Kurczowe uczucie przebiegło po twarzy artysty, poczem nastąpił silny rumieniec. Rumieniec zeszedł po chwili, ale twarz artysty już nie miała tego liryczno-fantastycznego wyrazu. Była to twarz człowieka przy zupełnych zmysłach. Cóż go tak nagle otrzeźwiło? ...Mówiłam dalej:

— Wyobrażałam sobie pana, że w domku przedmiejskim jako wyższy nauką i poczuciem zgromadzisz w koło siebie ubogą młodzież przedmieścia i będziesz z nią odbywał te same modlitwy poranne, jakie z sierotami odbywał ciemny dziadunio... Że skupisz koło siebie szkółkę śpiewu i muzyki, dla tych biedaków przedmiejskich i śpiewając z nimi śpiewy Niemcewicza, będziesz im treść ich objaśniał... że harmonją śpiewu i słowa będziesz zawiązywał potargane struny społeczeństwa...

Chłodno patrzał na mnie artysta. Uśmiechnął się zjadliwie i rzekł:

— Nie wiem, czy pani nie używa względem mnie broni najstraszliwszej — broni ironji... czy ten obrazek tak ponętnie wymalowany — obrazek organisty...

— Dla Boga, nie chciej pan źle sobie tłumaczyć słów moich... Szumann był kantorem ubogim, Bach był organistą w Dreźnie i mieszkał dwadzieście lat w ubogich pokoikach przy Willsdrufferstrasse.. oglądałam sama to dziwne mieszkanie artysty.

Artysta stał przedemną z uśmiechem gryzącej ironji. Twarz jego zbrzydła tą ironją. Rzekłam do niego:

— Widzę, że dłużej nie chcesz pan słuchać słów moich. Ranią one dumę pana. Z tego com tutaj opowiadała, widocznem jest, że mam, żem powinna przynajmniej mieć jakieś prawo do pana.

Artysta skrzyżował ręce i pochylił głowę na znak poddania się, czy raczej zawieszenia broni. Mówiłam dalej:

— Owe sny moje z tego dworku polubiłam zbyt mocno, aby panu mego ostatniego słowa nie wypowiedzieć. Przyznam się, że wyjazd pana wycisnął mi łzy, że pogrzeb ciemnego ojca położył mnie chorą do łóżka. Masz pan teraz tajemnicę, której sama przed sobą dotąd głośno nie wymówiłam...

Uczucie smutku wystąpiło na twarz artysty, ale postawy swojej nie zmienił.

— Mówić panu już nic więcej nie będę, bo słowa moje weźmiesz znowu za ironię. Wymagam tylko tyle od pana, abyś usiadł i spokojnie wysłuchał kilkunastu wierszy, które wujaszek w tym manuskrypcie o muzyce napisał.

Z uśmiechem lekkiej ironji odsunął artysta krzesło daleko od stołu i usiadł. Rozwinęłam manuskrypt i czytałam:

....›Sztuka ma dwie siostry rodzone. Obie są piękne i nęcą do siebie wdziękami. Starsza siostra jest to niejako postać grecka, z twarzą spokojną, czołem pogodnem. Z całej jej postawy widać, że pracuje. Ma też ona wiele do pracy. Prowadzi modlitwy ludów do Boga, płacze nad życiem doczesnem i pociesza tych, którzy po licznych stratach sami pozostali! Wzywa do boju i ogłasza tryumf. Koi łzy, powaśnionych godzi, pochmurne umysły nastraja do jaśniejszego wejrzenia w dzieła miłości Bożej. Jest i dla radujących się dobrą towarzyszką i w życie stroskane wlewa swobodę i ukojenie...

....Druga młodsza siostra poszła inną drogą. Boskich wdzięków użyła na to, aby być — zalotnicą. Krótko ubrana, z różem i bielidłem na twarzy, weszła do komnat zamożnych, aby jak bajadera bawić siebie i innych. Zalotne jej oczy udają afekt, usta malowane nęcą pocałunkami gorącemi!... Jest to biedna, nikczemna istota, a w chwilach tryumfów swoich jest tylko — prostą zabawką!...

...I jedna i druga mają zwolenników. Pierwsza prowadzi swoich *ad astra,* druga wiedzie ich na śnieżne wyżyny, gdzie marnie giną, rozrzuceni po bryłach lodu i śniegu i odrażają od siebie szklannemi oczami i twarzą sino zamarzniętą... Są to ofiary źle zrozumianej iskry, które im Bóg wlał do duszy... Mali, aby byli genjuszami, a zbyt pyszni, aby zejść do pracy niższej a wielkiej w istocie...

...Naród nasz miał dosyć proroków, harfiarzy i marszałków, ale nie miał — robotników! Byli artyści, którzy z efektem, umieli dawać w stolicy koncerta — towarzystwa, które bawiły wykonując trudne kompozycje mistrzów zagranicznych, ale nie było — szlachetnych robotników, którzyby cząsteczkę tej niebieskiej rosy wnieśli pomiędzy lud boży, zachmurzony umysł jego rozjaśnili harmonią i tąż harmonią nawiązali w sercu jego zagubioną tradycję dziejową...

...Ile razy dawałem składkę dla długowłosego artysty lub dla towarzystwa muzycznego, zawsze stawał mi przed oczy ideał mego organisty lub nauczyciela ludowego, który małym talentem i małą nauką mógłby olbrzymie rzeczy zdziałać w całej parafji swojej!... Ale my umiemy poświęcać się tylko tam, gdzie oklaski nas głuszą, umiemy sami leźć na stos ofiarny, byle tylko nas widziano i uwielbiano. — Ale zająć drobną celkę jak pszczoła w ulu i po niepokaźnej kropli napełniać ją miodem, tego nie umiemy!...‹

— Skończyłam — rzekłam zamykając manuskrypt.

Artysta westchnął głęboko, jakby ze snu się przebudził — wstał, a ukłoniwszy się nisko, rzekł do mnie:

— Prelekcja wyborna, dziękuję pani!

Rzekłszy to spojrzał na mnie wzrokiem obrażonej dumy, zarzucił włosy do góry i — wyszedł.

. . . .

POMNIK W SZWECHAT.

Cicho, spokojnie, jak życie narodu,
Smętny i obcy, nieznany nikomu,
Wśród zapomnienia — daleko od domu
Pomnik ten stoi tuż pod bokiem grodu —
I mało kto spojrzy nań i zapyta,
Co pomnik znaczy, kto go tam postawił,
Nie wierzy oczom, że to JAN się wslawił
Choć imię jego na pomniku czyta!
Wiedeń zapomniał bisurmanów groty
Zapomniał z wieki onej strasznej doli,
Kiedy półksiężyc niósł mu dank niewoli;
Zapomniał Polski, gdy minął wiek złoty
I ledwo tyle — tyle miał wdzięczności,
Że gdzieś za miastem nie wśród murów grodu
Postawił pomnik wybawcy narodu,
By błędny Polak wspomniał o przeszłości.
Lecz kiedy patrzysz na lica pomnika,
Nie ma tam hołdu, tam już duma błyska,
Że z Janem cesarz raczył mówić z blizka —
To miejsce zjazdu, tam bohater znika.
Zapomniał Wiedeń! wyryć na kamieniu,
Zapomniał — nie chciał — nie miał tyle cnoty,
By wyznać śmiało, że mu promień złoty
Wolności błysnął w Polaka ramieniu!
Lecz mniejsza o to, bo są świata dzieje,
A te nie kłamią, tych nikt nie wykrzywi
I choć niewdzięczni, pełni dumy żywi,
To prawdy z dziejów nikt już dziś nie zwieje;
A choćby pomnik w gruzy się rozsypał
To jeszcze z gruzów cień hufców wybieży
I każdy pozna w nich polskich rycerzy —
Z dziejów nie głazów będzie prawdę czytał.

Wiedeń. 1865. *Stefan Puszczyk.*

Lwowska szkoła przygotowawcza
nauczycieli szkół elementarnych.

Mówią i piszą u nas wiele o oświacie ludu. Bo też sprawa ta jest u nas niezawodnie najważniejszą. Bez oświaty niemożliwym jest dobry byt materjalny, bez oświaty i dobrego bytu moralność ludu nie może się zmienić na lepsze, bez oświaty najlepsze nawet polityczne instytucje muszą być z początku skrzywione, i dopiero wtedy osiągną swój cel, gdy w skutek dłuższej praktyki obudzą w ludzie ducha publicznego i zmuszą go przez to do przyjęcia oświaty.

Chcąc sprawę tę gruntownie wyczerpać, należałoby zacząć od tego, iż chcąc oświecać lud, trzeba pierwej samemu się oświecić, trzeba pierwej w klasie tak zwanej intelligencji silniej rozdmuchać to ognisko, z którego światło i ciepło ma się rozchodzić na cały naród. Kto nie wierzy temu, że ognisko to u nas bardzo słabo przyświeca, niech porówna nasze dziennikarstwo z zachodniem, niech porówna ruch księgarski u nas z tymże ruchem na zachodzie, niech zaglądnie do naszych szkół i uniwersytetów, niech wreszcie przysłucha się rozprawom jakichkolwiek u nas towarzystw lub ciał reprezentacyjnych.

Oświatę ludu u nas — trzeba więc zaczynać od oświaty intelligencji.

Ale usuńmy tę kwestję. Jakikolwiek jest stan wiedzy klas tak zwanych oświeconych, cięży na nich zawsze obowiązek rozszerzania tego światła na niżej stojące warstwy społeczeństwa, ażeby z członków tychże warstw zrobić prawdziwych obywateli kraju nie tylko *de jure,* ale i *de facto,* tak jak ojciec, chociażby dla siebie miał na cały dzień tylko mały suchego chleba bochenek, winien połowę tegoż dać swemu dziecku.

W wypełnianiu tego obowiązku pośredniczą między intelligencją a ludem — nauczyciele szkół trywialnych i normalnych. Jacy więc będą ci nauczyciele, taką też będzie i oświata ludu.

Ażeby mieć dobrych nauczycieli, dwóch potrzeba rzeczy: 1) Trzeba najprzód podnieść bardzo niską płacę nauczycieli wiejskich. Płaca ta jest tak nędzną, cały byt nauczyciela wiejskiego tak nieszczęśliwy, iż poświęcają się temu zawodowi tylko ludzie tacy, którzy nic już więcej w świecie robić nie mogą, którzy nie są dość zdolni albo dość pracowici, by inne w społeczeństwie zająć stanowisko,

i poświęcają się nauczycielstwu w myśli, że w ten sposób przy nie zbyt wielkiej pracy znajdą liche wprawdzie ale przynajmniej zapewnione utrzymanie. W ten sposób ludzie, których zawód powinien być prawdziwie kapłaństwem, którzy w społeczeństwie powinni zająć jedno z najzaszczytniejszych stanowisk — zastępują oni bowiem najważniejsze tegoż społeczeństwa interesa, — stoją na najniższym stopniu społecznej piramidy, a zawodowi wymagającemu bardzo wiele światła i zdolności oddają się najmniej uzdolnieni ludzie. 2) Potrzeba mieć dobre szkoły przygotowawcze.

Pierwszą kwestję, podniesienie płacy nauczycieli zostawiamy rozstrzygnięciu tych, do których ona należy, t. j. gmin i władz krajowych, o drugiej pomówimy obszerniej.

W samym sercu naszego miasta, w ratuszu, istnieje taka szkoła przygotowawcza, istnieje zakład, w którym fabrykują dla kraju wiejskich nauczycieli. Przypatrzmy się temu zakładowi, a czytelnik mi przyzna, iż wyraz „fabrykują“ jeszcze nie jest dość ostrym.

Do tej szkoły przygotowawczej zwanej po galicyjsku „preparandą“ mają być według prawa przyjmowani tylko uczniowie, którzy ukończyli czwartą gimnazjalną lub drugą realną klasę. Gdyby się trzymano ściśle tego przepisu, kraj by miał mniej wiejskich nauczycieli, ale lepszych. Tymczasem z powodu bardzo lichego bytu materjalnego nauczycieli wiejskich prawie tylko tacy ludzie idą do szkoły przygotowawczej, którym już nic innego nie pozostaje, jak tylko zawód wojskowy — lub nauczycielstwo na wsi. Często też armja zasila szkołę przygotowawczą — i na odwrót. Gdyby, jak już wyżej wspomniano, byt materjalny wiejskich nauczycieli był cokolwiek lepszy, pewnie zdolniejsi młodzieńcy wstępowaliby do tej szkoły. Lecz że po skończeniu czwartej gimnazjalnej klasy każdy woli pójść do apteki, a po drugiej realnej do jakiej fabryki, próżna więc szkoła przygotowawcza musi się zapełniać ludźmi, nieodpowiadającymi przepisom wstępu, tak że słuchacze tej szkoły po większej części pokończyli czwartą normalną a co najwięcej pierwszą lub drugą gimnazjalną klasę.

Co do wieku uczniów tej szkoły jak największa panuje mięszanina — są w niej uczniowie od 17 do 24 lat — a zdarzają się i tacy, którzy przesłużywszy wojskową kapitulację i natyrawszy się potem po świecie, wstępują do szkoły przygotowawczej po dawno już ukończonym 30 roku życia.

Tak zarekrutowani kandydaci mają w tym zakładzie nauczyć się sposobu udzielania dzieciom początkowych wiadomości. Dla tego też uczą się prócz metodyki i rolnictwa, tych samych przedmiotów, których później mają udzielać, i z tych samych książek. W ten sposób nauczyciele ci nie mogą mieć wcale wyższego wykształcenia i umieją tylko to, co według regulaminu szkolnego mają swym uczniom udzielać. Zapomniano tu o tem, iż celem szkółek wiejskich nie jest samo wyuczenie gramatyki, ale że jest nim oświata. Nauczyciel ma tysiące sposobności światła tego uczniom swym udzielać Jeżeli przeto sam prócz gramatyki nic więcej nie umie, jeżeli nie ma najmniejszej wiadomości o naukach przyrodniczych, o historji i geografji — jakżeż oświecić zdoła poruczone jego pieczy dzieci? jak zdoła rozbudzić ich umysł, przyzwyczaić je do zastanawiania się nad tem co je otacza, rozszerzyć widokrąg ich duszy tak, by sięgała po za graniczną miedzę wsi, w której żyją? — Na to potrzeba koniecznie pewnego wyższego wykształcenia, potrzeba, ażeby nauczyciel umiał coś więcej prócz gramatyki i rachunków.

Cała nauka podzieloną jest na dwa lata. Po skończeniu pierwszego roku nie robi się żadnego egzaminu, ale uczniowie przechodzą zaraz na drugi rok, w którym wykładają te same przedmioty, tylko nieco obszerniej. Rozkład godzin na obu latach ten sam:

Język niemiecki	5	godzin	tygodniowo
„ polski	2	godziny	„
„ ruski	2	„	„
Kaligrafja	2	„	„
Rysunki	2	„	„
Rachunki	2	„	„
Religja	2	„	„
Rolnictwo	1	godzinę	„
Metodyka	1	„	„

Ten rozkład godzin najlepszym jest dowodem niestosowności całego planu. Na czele rozsiadł się najmniej potrzebny przedmiot — język niemiecki z pięcioma godzinami na tydzień. Jest to jedną z pozostałości dawnego germanizacyjnego systemu. Nie przeczymy, iż znajomość niemieckiego języka jest przydatną dla nauczycieli wiejskich. Ale gdy do szkoły przygotowawczej mają być przyjmowani tylko uczniowie, którzy ukończyli już niższe gimnazjalne lub niższe realne klasy, którzy więc już znają niemiecki język, wystarczyłoby przeto zupełnie, gdyby na naukę tego języka wyznaczono dwie godziny tygodniowo, szczególnie, że język polski i ruski mają tylko po dwie godziny. W dzisiejszym więc planie tej szkoły widoczną jest myśl, że język niemiecki ma przeważać nad krajowymi i że nauczyciele wiejscy powinni przedewszystkiem język ten posiadać. Mniejsza o to, że po polsku i rusku będą mówić tak, jak gdyby się nie byli zrodzili na naszej ziemi!

(C. d. n.)

Korespondencje.

Paryż dnia 15 stycznia 1866.

(Dokończenie.)

Gdy tak jest powiązany ze sobą dobry stan wszystkich szkół, więc oddziaływanie na podniesienie którychkolwiek jest korzystnem dla wszystkich. Boć i szkółki dobrze urządzone dostarczą większą liczbę dobrze usposobionych uczniów gimnazjom — a dobrze urządzone gimnazja wydadzą młodzież uniwersytecką, która potrafi zrozumieć potrzeby kraju.

Idzie zatem o to, o które szkoły nasamprzód najstosowniej zawadzić, aby najrychlej przyjść do pożądanych rezultatów. Propaganda zakładania szkółek wiejskich zbyt jest trudną, aby można liczyć na pomyślny rezultat, tu potrzeba ofiar, poświęcenia — więc przeważnie młodzież do tego jest zdolną; bez odpowiedniego usposobienia w niej, a więc i bez poparcia na wielkie rezultata liczyć nie można, bo klasa szlachecka zawsze jest zachowawczą i w postęp nie wierzy. Na stan gimnazjów wpływa rząd, na ulepszenia więc ich naród może liczyć o tyle tylko, o ile potrafi wyrobić dobrych nauczycieli, więc i tu wprzódy potrzeba wstąpić do sal uniwersyteckich. Sama zaś młodzież gimnazjalna zbyt jest młodą, ażeby mogła sama przez się rozwijać i nie ma stosunków z uczniami innych gimnazjów. Więc głównie i prawie jedynie na początek, usiłowania powinny być zwrócone na młodzież uniwersytecką (nie spuszczając jednak z uwagi innych zakładów). Czegoż od tej młodzieży chcemy, a raczej jaki powinien być system jej kształcenia się?

Młodzież na uniwersytetach moskiewskich pozostając w nienormalnych okolicznościach, bo po za krajem, nienormalnie się też rozwijała. Jak każdy Polak w jakibądź sposób pozbawiony swej ojczyzny o niej tylko myśli, tak też i młodzież uniwersytetów moskiewskich przeważnie się zajmowała pielęgnowaniem patrjotycznych uczuć, co jej zajmowało cały czas tak, iż tylko cząstka pozostawała na naukę, a i z tej odrobiny czasu najwięcej używano na poznawanie dziejów ojczystych i literatury — przez to nauki zupełnie zostały zaniedbane

Młodzież mająca co szczęście pobierania nauk w kraju, prawie zawsze grzeszyła przeciwnym kierunkiem, t. j. oddając się wyłącznie nauce z zaniedbaniem obowiązków obywatelskich. Może gdzie jest inaczej, ale u nas w Polsce taki kierunek jest sztucznym; bo Polak ma w duszy swej wrodzony patrjotyzm, wyssany z mlekiem matki, wykołysany i wzrosły pośród patrjotycznego ludu, słuchając od dzieciństwa o poświęceniu, o męczeństwie, o niedoli narodu, od czasu do czasu przysłuchując się hukowi armat, — a które od stu lat pokolenie jego nie słyszało? — jeżeli nieznajdzie rozwiązania tych wszystkich zagadek, jeżeli utonie w książkach; ani z tych ksiąg nic nie zrozumie, ani nie będzie nigdy w stanie pojąć rzeczy, które się około niego dzieją — a wychodząc ze szkoły znajduje się w społeczeństwie, dla którego jest zupełnie obcym, obcym wszelkiemu prądowi narodowemu. Jeżeli zaś poświęci się wyłącznie nauce, może stać się uczonym Niemcem, ale Polska z jego nauki wielkich korzyści odnieść nie potrafi, bo on ją na sposób obcy będzie wykładał

Dla tego uważamy, iż oba kierunki łączyć się z sobą powinny, jeden na drugi oddziaływać i wzajemnie się równoważyć.

Dla rozwiązania zagadek (jakeśmy to nazwali) życia narodowego, dla zrozumienia go, potrzeba ani na chwilę odeń się nie odrywać, śle-

dzić ruch w kraju i najczynniejszy w niem brać udział. Co rozumiemy w ten sposób: młodzież powinna starać się o rozwinięcie pomiędzą sobą koleżeństwa, o utworzenie stowarzyszenia, gdzieby każdy z zupełną swobodą mógł wypowiadać swoje zdanie, gdzieby takowe spotykając się z przeciwnem, mogło się ścierać; gdzieby była kontrola moralności postępowania każdego, i gdzieby ta moralność nienarzucana ale drogą przekonania była wpajana; gdzieby nareszcie nie sztucznie, lecz zupełnie naturalnym porządkiem odbywały się wszelkie czynności pojedyńczych obywateli. Instytucja taka raz zawiązana, a z tolerancją przeprowadzana nie upadnie, ale się rozwijać będzie

W pracach naukowych nie ma potrzeby przypominać młodzieży krajowej, aby do nich pilnie przystępowała, gdyż po to głównie wstępując do uniwersytetu, aż nadto dobrze o nauce pamięta, ale raczej potrzeba przyjść z pomocą we wskazaniu kierunku i ułatwieniu środków. — Nie mówimy o środkach materjalnych, bobyśmy z taką młodzieżą mówić nie chcieli, którąby po za swoim kołem szukała tych środków, którąby nie potrafiła ich z siebie wydobyć.

Podnosimy nasamprzód potrzebę poznawania dziejów ojczystych Bez tej znajomości nie ma możebności służenia z pożytkiem krajowi na jakimbądź polu naukowem, politycznem czy społecznem; a zwłaszcza ludziom, którzy czynniejszą chcą odegrać rolę. Nieznajomość dziejów, co jest jednoznaczącem z nieznajomością charakteru i potrzeb narodu, spowodowała tyle klęsk u nas, tyle niepowodzeń, iż nie zawahamy się powiedzieć, że na tej nieznajomości opierają się głównie wszystkie od dwóch wieków nieszczęścia nasze.

A obok poznawania dziejów stoi konieczność zajęcia się usilnego literaturą, bo ona jest widomym obrazem stanu kraju i robót narodowych, poznawanie piśmiennictwa i wspieranie go jest koniecznem, nieodzownem zadaniem młodzieży. Literatura zawsze i wszędzie znakomite zajmuje stanowisko w pracach narodowych, a u nas dziesięć razy większe jak gdzie indziej.

A następnie wyszukiwanie najodpowiedniejszych i najłatwiejszych środków poznawania nauki w specjalności, jaką się obrało.

W jaki sposób młodzież ma się zorganizować, i prace swoje w kraju przeprowadzać, tego nam z Paryża przesądzać nie wolno — bo to wszystko zależy od czasu, miejsca i okoliczności, aby tylko młodzież weszła na tę drogę, a niezawodnie potrafi zrozumieć, czego potrzeba i dokładnie przeprowadzić.

Z tego cośmy powiedzieli, widoczny jest dwojaki rodzaj prac młodzieży, w krajowych i pozakrajowych uniwersytetach zostającej; pierwsza stanowi główną podstawę, druga tylko jako źródła pomocnicze. Więc czego innego oczekiwać będziemy w korespondencjach z kraju a czego innego z zagranicy.

Korespondencje krajowe muszą ożywiać młodzież zagraniczną, dodawać jej otuchy i przez to zachęcać do pracy — wskazywać, że się roboty w kraju przeprowadzają ze współudziałem młodzieży, podawać rezultata swych prac tak na polu narodowem jakoteż na polu naukowem — oznajmiać, jaki postęp zrobiła nauka, jakie nowe dzieła w jakiej gałęzi przybyły, zresztą sprawozdania uniwersyteckie. — W tych ostatnich wypadkach schodzą się ze sobą korespondencje krajowe i pozakrajowe.

Od korespondencyj zagranicznych wymagać należy opisów organizacji młodzieży po rozmaitych uniwersytetach, jej życia, stosunków, prac — słowem przedstawienia strony duchowej i intelektualnej młodzieży. W dziale zaś naukowym wszystko to, co ma stosunek z nauką z katedry wygłaszaną, system wykładającego, jeżeli się czem nadzwyczajnem odznacza, treść najznakomitszych odczytów, nowe poglądy, książki przez profesora zalecane, dzieła wyczerpujące przedmiot w tym języku. Nadto uniwersytet, jego urządzenia, rozkład przedmiotów, urządzenia szkół i szkółek w ogóle i o ile okoliczności dozwalają, wyczerpanie tego przedmiotu. Stan oświaty w danej miejscowości i t. d. Tak bogaty i wielostronny jest przedmiot, że nigdy nikomu nie zabraknie materjału na korespondencje, a skoro już korespondencje z rozmaitych miejscowości nadejdą, widnokrąg więcej się rozwidni, prace pójdą systematyczniej i przyjmą jeszcze szerszy zakres. Gdyż z tego dowiemy się wielu rzeczy, o których dotąd albo nic wcale, albo maluczkośmy wiedzieli.

W ten sposób pojmujemy korespondencje, a zdanie swoje wypowiadamy otwarcie, uważając się już za stowarzyszonego, bez obawy szyderczej krytyki, z prośbą, jeżeli kto w ten sam sposób na rzecz się zapatruje, o poczynienie swoich uwag nad przedmiotem.

Pod imieniem młodzieży rozumiemy nietylko tych, którzy są na kursach uniwersyteckich, ale oraz tych wszystkich, co z nią razem żyją duchem i sercem.

Odkładamy do przyszłego listu korespondencję właściwą, bo i tak wstęp przeciągnął się niepomiarkowanie — kończymy braterskiem wezwaniem do kolegów z wszech uniwersytetów, do młodzieży polskiej do pracy łącznie i po koleżeńsku.

Towarzystwo bratniej pomocy.

Podpisani członkowie Wydziału Towarzystwa bratniej pomocy na uniwersytecie lwowskim odzywamy się w imieniu młodzieży do rodaków obywateli kraju naszego z prośbą, by nasze Towarzystwo wspierać raczyli. Nauczeni od Was Ojcowie, że naszym pierwszym obowiązkiem będzie kiedyś służenie narodowi, że konieczną do tego jest nauka gruntownie a zarazem swobodnie i z pojęciem celu nabyta — chcemy w Towarzystwie naszem koleżeństwo i pomoc braterską, niezbędne warunki swobodnego nauki rozwoju, w wykonanie wprowadzić. Sprawa nasza jest już tem samem sprawą kraju całego, że należyte w nauce postępy nie są możliwe, dopóki ucząca się młodzież walczyć musi z nędzą i niedostatkiem. Pomoc Wasza na tej drodze będzie nam zachętą i utwierdzeniem w rozpoczętem działaniem.

Na podstawie §. 2go statutu Towarzystwa bratniej pomocy staje się członkiem wspierającym każdy kto od Wydziału za takiego przyjęty wstępną wkładkę najmniej 5 zł. w. a. złoży i rocznie najmniej 10 zł, w kwartalnych z góry opłacać się mających ratach do kasy Towarzystwa wkładać się obowiązuje.

Prosimy więc aby wszyscy, pragnący wesprzeć nasze Towarzystwo raczyli się zgłosić z zastosowaniem §. 2go, „do wydziału Towarzystwa bratniej pomocy na uniwersytecie lwowskim.“

Upraszamy wszystkie dzienniki krajowe o powtórzenie niniejszej odezwy.

Lwów dnia 29go stycznia 1866.

Podpisano:

Prezes: *Ksawery Berezowski.*

Wiceprezes: *Bolesław Baranowski.*

Sekretarze: *Tadeusz Romanowicz.*

Bolesław Hefern.

Członkowie Wydziału: *Emil Blumenfeld.* — *Robert Czajkowski.* *Władysław Czajkowski.* — *Jan Pietruski.* — *Tadeusz Pilat.* *Albin Rajski.* — *Bartłomiej Rozwadowski.* — *Emil Terlecki.* *Antoni Zaleski.* — *Hugo Zathey.* — *Emil Zubrzycki.*

Skarbniczka dziejów i rzeczy polskich. Napisał Łucjan Tatomir. Część druga: Dzieje Polskie. Tom I. Lwów 1866. 8vo. str. XIII — 394.

(Dokończenie.)

Drugą ważną zaletą dzieła jest niezawisłość autora. Prawda jest mu jedynym celem — chociaż więc przychodzi nieraz wystąpić przeciw czemuś, co jest otoczone jakąś aureolą świętości, a z drugiej znów strony podnieść postacie dziejowe, potępiane zwykle przez historyków bojących się naruszyć pewne tradycje, p. Tatomir nie waha się uczynić to, skoro tylko prawda dziejowa mu nakazuje, skoro tylko sumienne badania doprowadzają go do rezultatów, przeciwnych czczonym dotąd tradycjom. Ten duch niezawisłości widoczny w całem dziele. I tak uznając te zasługi duchowieństwa naszego, które poniosło w istocie i których mu nikt odmówić nie może, nie waha się jednak p. Tatomir wystąpić z ostrymi przeciwko niemu zarzutami, gdzie na to zasłużyło, wykazać zgubność jego wpływu w niejednej sprawie. Jest to tem ważniejsze w tem dziele, iż bardzo wielu pisarzy u nas uwzięło się na to, by wpływ duchowieństwa w dziejach naszych okazać zawsze zbawiennym, by mu największe w narodzie przypisywać zasługi, a ukrywać z umysłu wszelkie jego błędy i wszelkie czyny przeciwne zasadom narodowej moralności, choćby się to nawet działo na koszt historycznej pra-

wdy, choćby nawet przyszło to apoteozowanie duchowieństwa okupić sfałszowaniem faktów.

Kierunek ten — reprezentowany głównie przez autora wyszłej niedawno broszury o św. Stanisławie, jako też i przez autora „Piastów", a zachowany dotąd prawie przez wszystkich kompilatorów naszych dziejów, którym, jak p. Tatomir powiada, chodzi zawsze tylko o wyciągnięcie jakiejś „moralnej nauczki" — bardzo jest zgubnym, bo fałszuje dziejową prawdę, bo poświęca naukę jakimś ubocznym a nie zawsze słusznym względom, bo wykrzywia pojęcia i wyobrażenia młodzieży. Stanowcze przeciw niemu wystąpienie, które jako jedna z przewodnich myśli objawia się w całym tym tomie Skarbniczki, jest zdaniem naszem wielką zasługą p. Tatomira, jest wielką zaletą dzieła i nadaje mu pewną postępową cechę, na jakiej zbywa prawie wszystkim kompilacjom dziejów Polski.

P. Tatomir starał się w dziele swem o ile możności przedstawić wewnętrzny rozwój narodowego naszego życia. Pod tym względem natrafił on na wielkie przeszkody. Stan ogólny naszego dziejopisarstwa jest co do tego w wielu rzeczach bardzo jeszcze niedostateczny, tak, że do utworzenia całości obrazu bardzo wiele jeszcze brakuje. I tak rozwój ekonomicznych stosunków w Polsce jest jeszcze prawie zupełnie niewyjaśniony. Prócz bardzo cennego dzieła Stawiskiego nie mamy o tym przedmiocie prawie żadnej ważnej pracy; a porozrzucane po rozmaitych archiwach materjały, któreby mogły wyjaśnić tę stronę dziejowego naszego życia, nie są jeszcze wcale zebrane Tu więc p. Tatomir nie mógł nic innego zrobić, jak tylko tu i owdzie rzucić światło na stosunki ekonomiczne. Rozwinąć je w całej pełni, wykazać ich wpływ na całe dzieje nasze, jest dziś jeszcze niepodobieństwem.

Inaczej rzecz się ma z historją prawodawstwa i historją literatury. Te strony dziejowego naszego życia są już o tyle wyjaśnione, iż autor piszący kompendjum może je zupełnie uwzględnić, gdy daje obraz rozwoju narodowego życia.

W pierwszym planie Skarbniczki było, iż dzieje piśmiennictwa polskiego będą opowiedziane w całym zarysie dziejów naszych. P. Tatomir odstąpił później od tego planu — i dość słusznie — bo jak powiada autor: „w zlaniu takiem z dziejami politycznemi musiałaby historja literatury zająć koniecznie stanowisko podrzędne, a równocześnie rozszerzyć wykład owych do tyla, żeby książka niniejsza przekroczyła rozmiary podręcznej."

Ale jeżeli musimy przyznać, że obszerne rozbieranie dziejów piśmiennictwa naszego razem z politycznemi dziejami Polski nie byłoby stosownem, to z tego jeszcze nie wynika wcale, jakoby pisząc dzieje narodu wolno było zupełnem milczeniem pomijać dzieje piśmiennictwa, dzieje jego oświaty, jak uczynił p. Tatomir. Autor piszący dzieje narodu w ich całości, powinien przy każdym okresie dać ogólny pogląd na rozwój piśmiennictwa, dać charakterystykę tegoż. Wspomnieliśmy już jak ważny wpływ na dzieje polityczne narodu ma rozwój umysłowy tegoż. Wpływa on na wyobrażenia religijne, na tolerancję lub nietolerancję religijną, na prawodawstwo i społeczne stosunki. Bez dziejów umysłowości narodu nie można zrozumieć jego dziejów politycznych, jego wewnętrznego rozwoju. A gdy, jak wyżej powiedziano, wewnętrzny ten rozwój jest głównym przedmiotem dziejopisarstwa, więc dzieje umysłowości narodu stanowią tak istotną część jego dziejów, że zupełne pominięcie ich jest wielkim błędem.

Toż samo musimy powiedzieć i o dziejach prawodawstwa. Niepodobieństwem było mówić obszernie o prawodawstwie w książce, przeznaczonej do popularnego użytku. W każdym jednak razie sądzimy, iż ogólna charakterystyka jego nawet w książce popularnej jest niezbędnie potrzebną. P. Tatomir jednak o prawie polskiem aż do Kazimierza Wielkiego nic nie wspomniał. A przecież sądzimy, iż należało dać charakterystykę zwyczajowego prawa przed Kazimierzem Wielkim, należało wykazać, jak obczyzna wciskająca się do nas wraz z zachodnim kościołem zmieniła to prawo zwyczajowe, jaki ta zmiana miała wpływ na cywilizację polską. P. Tatomir pominął to zupełnie.

To są dwa główne i jedyne błędy, jakie w dziele p. Tatomira wytknąć nam wypadło. Zalety jednak tego dzieła tak są wielkie, iż łatwo przy nich zapomnieć o wadach. Powabność stylu i obrazowość całego przedstawienia rzeczy, obok gruntowności i skorzystania z najnowszych badań, a nawet obok samodzielnego badania źródeł widoczne w całem toku dzieła, stawiają p. Tatomira w rzędzie najlepszych u nas popularyzatorów nauki. Dodajmy do tego pilne zwrócenie uwagi na ciągłość wypadków dziejowych, na ich rozwój przyczynowy, na wewnętrzny związek wszystkich wypadków, dodajmy samodzielność sądu, która przebija się w całem dziele i nie dozwala autorowi poświęcać prawdy dla ubocznych względów, a przyznać musimy, iż książka pana Tatomira należy do najlepszych w swym rodzaju.

Życzyćby tylko należało, ażeby dzieło to jak najprędzej w całości znajdowało cię w ręku czytelników, a powtóre, aby znajdowało się w ręku wszystkich, których obchodzą dzieje i sprawy ojczyste.

T. Romanowicz.

Przegląd naukowy, literacki i artystyczny.

— Wyszedł trzeci tom „Pisma zbiorowego" wydawanego staraniem i nakładem Towarzystwa naukowego młodzieży polskiej w Paryżu. Takowy zawiera: Aleksander I w obec sprawy polskiej na kongresie wiedeńskim, p. W. Skorzewskiego — O więzieniach w Irlandji, p. M. Dzikowskiego — Korewa i jego oddział, p. Jerzego Laskarysa — Wspomnienie o nim, p. W. Wagę — Anti-Parki, p. Ernesta Buławę — Polska w rzeczywistości dziejowej a Polska przedstawiona w dziejach Józefa Szujskiego i Koronowicza, p. H. Schmitta — Ryszard Cobden (wspomnienie pośmiertne), p. Brunona Dobrowolskiego — Trucizny roślinne, podług Klaudjusza Bernard, p. Adolfa Pienkowskiego — Przegląd bibliograficzny.

— Świeżo opuściły prasę:

A. Polińskiego „Historji powszechnej" tom III, zawierający dzieje nowoczesne (doprowadzone aż do śmierci Napoleona I r. 1821) Poznań 1866 — 8vo — str. 432.

J. Gordona, obywatela Stanów Zjednoczonych, „Przechadzki po Ameryce." Treść: Odjazd do Ameryki — Atlantyk — Nowy Jork — Kościuszko, Puławski i Niemcewicz — Moja naturalizacja — Kwakery i Mormoni — Typ Amerykanina - - Niagara — Cincinnati — Arystokracja — Cena ziemi — Przechadzka w lesie dziewiczym — Prawodawstwo — Abraham Lincoln. — 8vo, 27 str. Berlin — Poznań 1866.

Ks. Sadoka Barącza, „Bajki, fraszki i podania, przysłowia i pieśni na Rusi." Tarnopol 1866. 8vo, str. 248.

— Jak jeszcze przeszłego roku donosiliśmy, wychodzi w Warszawie od 1go stycznia nowe pismo specjalne naukowe pod nazwą: Przegląd Techniczny. Takowe poświęcone jest przemysłowi krajowemu i obejmuje praktyczne zastosowanie inżynierji cywilnej, budownictwa, górnictwa, mechaniki, metalurgji, oraz technologji chemicznej i mechanicznej.

Przegląd techniczny zawierać będzie;

W dziale pierwszym 1) Opisy znakomitszych zakładów przemysłowych, krajowych i zagranicznych, pod względem technicznym. 2) Sprawozdanie o zastosowanych już w praktyce nowych wynalazkach, opisy nowych maszyn i ulepszeń zaprowadzonych w przyrządach już znanych, z ocenieniem ich donośności pod względem naukowym i praktycznym. 3) Artykuły techniczne o kolejach żelaznych, drogach bitych, żegludze parowej po rzekach, o budowlach i materjałach budowlanych.

W dziale drugim — prawa i przepisy dróg, spławów, przemysłu i zakładów przemysłowych dotyczące.

W dziale trzecim — sprawozdania i bibliograficzny przegląd dzieł technicznych, w kraju i za granicą wydawanych.

Głównem zadaniem redakcji jest postawić techników i przemysłowców naszych w możności korzystania z wszelkich najnowszych ulepszeń, wynalazków i odkryć, a z drugiej strony uchronić ich od nieoględnego chwytania się nieraz rozgłośnie zachwalonych środków, które jednak ani naukowej nie wytrzymują krytyki, ani praktycznie nie są wypróbowane.

Przegląd Techniczny wychodzi w zeszytach miesięcznych najmniej trzy arkusze druku w 8 ce obejmujących, z dołączeniem tablic litografowanych dla objaśnienia tekstu.

P. T. Prenumeratorów naszych, którzy prenumeratę na „Tygodnik naukowy" za styczeń lub i nadal zapłacili, upraszamy, by nadwyżki, jakie przez podniesienie cen prenumeraty na „Tygodnik naukowy i literacki" wynikły, czem spieszniej redakcji odesłać zechcieli.

Prenumeratę miejscową i zamiejscową przyjmuje także „Ajencja Czasu" we Lwowie.

Autorowie i Nakładcy, którzy sobie życzą, aby obszerniejsza wiadomość o wydanych dziełach zamieszczona była w naszem pismie, zechcą nadesłać Redakcji jeden egzemplarz dzieła.

Wydawca i odpow. redaktor **F. B. Twardowski.** Główny współpracownik **Karol Widman.** Z drukarni E. Winiarza.